

CIESZANOWSKIE ZESZYTY REGIONALNE



MBP Cieszanów
Cieszanowskie zeszyty re...



0000023003

Wspomnienia

Janina Szajowska¹

Zwyczaje wielkanocne w przedwojennym Cieszanowie

Radosne i wiosenne Święta Wielkanocne poprzedza Wielki Post i związane z nim nabożeństwa i obrzędy liturgiczne. Był to najbardziej przygnębiający i ponury okres dla mnie, dziecka wrażliwego i przeżywającego głęboko wszystko. Mama egzekwowała moją obowiązkową obecność na gorzkich żalach, drodze krzyżowej i ciemnej jutrzni.

Niedzielne gorzkie żale. Kościół nabyty ludźmi. Długie, rozwlekłe, zawodzące psalmy i pieśni pasyjne - prawie w całości odprawiane na klęczkach. „Gorzkie żale, przybywajcie, serca nasze przenikajcie. Rozplńcie się, me źrenice, toczcie smutnych łez krynice”. Każda strofa pieśni uzmysławia, że to za nasze ciężkie grzechy Jezus niewinnie cierpiał niewysłowione męki, więc musimy pokutować

¹ Janina Szajowska – ur. 24.06.1922 r. w Cieszanowie jako córka Rafała Szajowskiego (kowala) i Stanisławy z Gajerskich. Po ukończeniu siedmioklasowej szkoły powszechnej w Cieszanowie, w 1936 r. kontynuowała naukę w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim im. J. Słowackiego w Jarosławiu, którą przerwał wybuch II wojny światowej. Okupację niemiecką spędziła w Cieszanowie. Pod koniec kwietnia 1944 r. wobec narastającego zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich, wyjechała z rodziną z Cieszanowa do krewnych w Jarosławiu. W 1945 r. wyszła za mąż za Ferdynanda Szajowskiego. Zamieszkali w Poznaniu, a później w Warszawie. Mieli troje dzieci: Krzysztofa, Alicję i Lucynę. W 1954 r. przenieśli się do Cieszanowa. Przez wiele lat Janina Szajowska była kierownikiem księgarni w Cieszanowie. Jest autorką niepublikowanego *Słownika gwary cieszanowskiej*. Niniejszy tekst jest fragmentem również niepublikowanych wspomnień zatytułowanych *Trochę wspomnień z mego życia*. Tytuł został dodany przez redakcję.

i przebłagać go za nasze złości. Udręka mego sumienia polegała na tym, że mało, lub wcale, gorzki żal i potrzeba pokuty nie były w stanie przeniknąć do mego serca i duszy - choć bardzo się starałam. Miałam się za bardzo występne i złe dziecko.

Na ambonę wchodził ksiądz i w kazaniu pasyjnym uzmysławiał wiernym szczegóły męki krzyżowej Jezusa, podkreślając, że nasze grzechy były, i są, przyczyną jego ofiary za nas. To mnie przejmowało przerażeniem. Nie rozumiałam dlaczego tak się dzieje. Odczuwałam jakiś wstyd, strach, zagubienie, niezrozumienie, wreszcie ból kolan i znużenie; aż w końcu zmęczenie, znudzenie i chęć ucieczki. Mój Boże! Co powiedziałaby ksiądz i moja mama na taką bezbożność, jak u tego łotra po lewicy.

Droga krzyżowa odbywała się w piątki po południu. Kościół wyziębiony, chłód dokuczliwy. Procesja od stacji do stacji Męki Pańskiej. Stacji jest 13, czy też 14. Znowu temat cierpienia i śmierci Chrystusa za nasze grzechy. Usiłowałam wmyślić się w treść modlitw; przerażało to moją wyobraźnię i rozumienie. Miałam wyrzuty sumienia, że liczę stacje i tak daleko jeszcze do końca. Pod koniec nuda i zniecierpliwienie, ale też poczucie, że źle postępuję, i tak nie wolno. Jestem złym dzieckiem o oschłym sercu.

W Wielkim Tygodniu odbywały się w środę, czwartek i piątek ciemne jutrznie. Obecnie posoborowe zmiany w liturgii spowodowały, że nabożeństwa i ceremonie wielkotygodniowe zostały przeniesione z godzin porannych na popołudniowe i wieczorne. Nie wiem, czy i kiedy odbywają się obecnie ciemne jutrznie. W czasach mego dzieciństwa i młodości odbywały się o godzinie 15. Ponieważ matki i gospodynie domowe zajęte były w tych dniach i miały urwanie głowy z przygotowaniem świąt, wysyłano na ciemne jutrznie głównie dzieci i stare babcie. Kościół zimny, mroczny, nieoświetlony. Ołtarze огоłocone z kwiatów, lichtarzy i obrusów. Organy milczały. W ławkach kolatorskich² przed ołtarzem zasiadali księża. Przed nimi ustawiono

² Ławki kolatorskie – ławki przeznaczone dla kolatorów kościoła, tzn. jego fundatorów bądź patronów. Kolatorami byli właściciele majątków ziemskich na terenie parafii, którzy mieli prawo do umieszczania w świątyni kolatorskich tablic nagrobkowych i dysponowali własnymi ławkami, umieszczanymi zwykle w pobliżu ołtarza.

wysoki, drewniany, trójkątny świecznik, na którego wzniesionych ku górze dwóch ramionach płonęło kilkanaście świec. Księża śpiewali po łacinie gregoriańskie psalmy. Żałobne pieśni odbijały się głuchym odgłosem od sklepienia świątynnego. Po każdym psalmy wstawał kolejno jeden ksiądz, wychodził z ławki, wyjmował świecę ze stojaka, szedł z nią do ołtarza, tam ją gasił, wracał, wstawał zgaszoną w świeczniku. Towarzyszył temu żałobny dźwięk kołatki. Zanim odśpiewano kilkanaście psalmów łacińskich i zgaszono kilkanaście świec, przy głuchym odgłosie kołatki, mijało wiele czasu. Dziecięce oczy liczyły powolne ubywanie płomyków świec. Nic nie rozumiało się z tej smutnej, a raczej ponurej ceremonii. Rozpacзлиwa nuda była owocem tej przymusowej obecności na niezrozumiałej ceremonii, której nikt dzieciom nie wytłumaczył.

W domach panował w tym czasie wielki ruch przedświąteczny. Tuż przed świętami bielono wapnem, obficie zabarwionym ultramaryną, zewnętrzne ściany drewnianych domów. Po zakończeniu pieczenia ciast i przygotowaniu świątecznych potraw musiał też zostać pobielony komin i piec kuchenny z kapą, czyli okapem. Do rzadkości należały piece kaflowe i to tylko w bogatszych domach. Piece przeważnie były ceglane, bielone wapnem.

Pieczenie ciast odbywało się zazwyczaj w Wielki Czwartek lub w Wielki Piątek. U nas w domu piekło się w czwartek. Trwało to cały dzień i powodowało wielki bałagan w kuchni. W przeddzień znoszono z komory smażone wiśnie, powidła i poziomki. Przesiewano i ogrzewano na piecu mąkę. Liczono kopy jaj. Umiejętność napalenia w piecu „pieczywnym” wymagała doświadczenia, aby go odpowiednio nagrzać. Przynoszono z drewni długie, grube polana w ilości 14-16 sztuk. Należało je odpowiednio ułożyć w piecu, aby się równomiernie nagrzał. Wtedy długą kociubą³ rozgarniano żar na boki, a nadmiar wybierano. Taki przepalony węgiel drzewny używany był później do napełnienia żelazka do prasowania. Po rozgarnięciu żaru słomianym pomiotłem, maczanym w wodzie, zwilżano i zmiażdżano palenisko pieca. Wrzucano do wnętrza garść mąki. Jeśli mąka

³ Kociuba – potoczne określenie narzędzia do wygarniania węgla z pieca chlebowego; pogrzebacz.

się paliła i unosił się z niej czarny dym, mokrym pomiotłem znów studzono posadzkę pieca. Cała kuchnia zastawiona była naczyniami z ciastem, blachami, foremkami do babek, stolnicą, mąką, miskami, przyborami kuchennymi. Bo też piekło się na święta aż dwa piece ciast przeróżnych. Pierwszy piec zapełniały blachy z bułkami. Były to wielkie, wysoko wyrosnięte buły, posmarowane rozmaconym żółtkiem i posypane makiem. Rumieniły się w piecu i miały błyszczącą, „lakierowaną” skórkę. Razem z bułkami wsadzane były makowniki drożdżowe, zawijane z masą makową, rodzynkami i konfiturą ucieraną z płatków róży. Pachniały one ponętnie wanilią i konfiturą różaną. Po wyjęciu upieczonych ciast rozpalano w piecu po raz drugi, używając mniejszej ilości polan. Piec musiał być teraz ogrzany delikatniej, do lżejszych ciast. Na Wielkanoc pieczono inne ciasta niż na Boże Narodzenie. W zimie kury niosły się słabo lub wcale, jaj było mniej. Składowano je już od jesieni, zakopane w popiele, owinięte w gazety lub przysypane zbożem, aby przetrwały w chłodzie i bez dostępu powietrza. Dlatego też wypieki zimowe opierały się na przepisach wymagających mniej jaj. Za to na Wielkanoc, gdy kurniki rozbrzmiewały gdakaniem niosek, jaj było zatrzęsienie.

Podczas gdy buły i makowniki rumieniły się w piecu, gospodynie w drewnianych nieckach miesiły ciasto na babki. Do nich ucierało się z cukrem 30 - 40 żółtek. Gdy baby rosły już w formach, nakryte i otulone, nie wolno było otwierać drzwi i robić przeciągu. Trzeba na nie chuchać, jak na niemowlę w beciku. Drożdżowe baby z rodzynkami, pachnące wanilią, puszyste, oprószone cukrem pudrem albo oblane lukrem, to duma wielkanocnego stołu. Jedną malutką i zgrabniutką pieczono specjalne do koszyka z paską, czyli do święcenia. Kto miał blaszaną formę, wypiekał baranka do święcenia i ozdoby.

Kiedy drugi piec był odpowiednio nagrany i ostudzony, wsuwano do niego delikatne babki, serniki ucierane z co najmniej 20 - 25 jajami i kruche placki nadziewane powidłami, wiśniami i czym tam kto chciał, i miał. Pieczono też inne ciasta, ale te były typowe. Tortów za mego dzieciństwa u nas w domu nie pieczono, aż do czasów, gdy już chodziłam do gimnazjum. Wówczas to, parę lat przed wojną, rozpowszechniły się torty, więc i u nas pojawiły się z okazji świąt.

Teraz moje córki też pieką na święta dwa ciasta, a ja od lat już wcale. Wiem, że w Cieszanowie tradycja pieczenia jeszcze nie zaginęła - trwa połowicznie. Wiele młodych gospodyń kupuje gotowe ciasta w ilościach sensownych (w stosunku do tego wariactwa, jakiemu hołdowało do niedawna wiele pokoleń cieszanowian).

W Wielki Piątek o świcie, jeszcze zanim otwarto drzwi kościoła, wiele kobiet, w tym moja matka, szło pod zamknięte drzwi bocznej kaplicy, w której od Wielkiego Czwartku znajdowała się w ciemnicy wystawiona do adoracji monstrancja. Był zwyczaj, że kobiety kękały przed zamkniętymi jeszcze drzwiami ciemnicy i modliły się - polecając Bogu swoje troski, cierpienia i choroby; prosząc o łaskę i pomoc. Moja mama twierdziła, że te modły i prośby bywały wysłuchane.

W Wielki Piątek zawsze obowiązywał post ścisły. Jadło się na obiad przeważnie śledzie marynowane i ziemniaki w mundurkach z solą. Ten dzień ścisłego postu był jednak dniem gotowania szynek świątecznych. Dawniej masarze nie wykrawali i nie formowali małych szyneczek. Marynowało się i wędziło całą, niekiedy ogromną, szynkę z kością. Takie wielkie szynki gotowane były w ogromnych baniakach, zajmujących całą płytę kuchenną, we wszystkich niemal kuchniach, na wszystkich ulicach Cieszanowa. Każdy miał chlewik, gdzie hodował świnie na taką okazję. Oczywiście za wyjątkiem Żydów, dla których świnia była zwierzęciem nieczystym. Gotowania szynek należało doglądać, bo miały one tylko pyk, pyk - ledwie mrugać. W trakcie gotowania dokładało się do nich kiełbasy i boczki wędzone. Zapachy unosiły się smakowite, i kuszące, w tym dniu ścisłego postu. Potem wszystko stygło razem w wywarze, przenikając się nawzajem smakiem i aromatem. Na wywarze gotowało się świąteczny żurek.

Wielki Piątek był również dniem kraszenia pisanek. Malowano je woskiem, kraszono w łuskach cebuli, w świeżej zielonej runi zbóż, w korze drzew i barwiono specjalnymi farbami do jajek. Kto miał talent i cierpliwość, wydrapywał nożykiem, żyłką lub igłą wzory na pisankach. Obecnie rozpowszechnione są różne sztuczne pisanki, w tym bardzo trwałe; nie zaśmierzają się nigdy ani nie zgniotać - drewniane, regionalnie i stylowo ozdabiane.

W piątek odbywało się wykopywanie z ziemi i tarcie chrzanu, co było czynnością uciążliwą i przykrą, wygryzało oczy do łez, piekło w nosie i gardle - ale było zdrowe! Bez świeżego chrzanu nie do pomyslenia było śniadanie wielkanocne. Obecnie chrzan kupuje się w słoiczkach, bez żadnego kłopotu i zachodu. W piątek też sprzątano gruntownie mieszkanie. W sobotę już się takich robót nie wykonywało. W sobotę były już prawie święta. W Wielki Piątek po wszystkich robotach szło się do Bożego Grobu na adorację, która trwała do północy.

Wielka Sobota. Rano w kościele odbywało się święcenie wody i ognia. Z każdego domu był ktoś obecny na tej ceremonii i nabierał święconej wody do butelki lub do dzbanka. Po powrocie z kościoła wszyscy domownicy z uszanowaniem upijali kilka łyków, żegnając się znakiem krzyża. Resztę wody odstawiało się w ciemne, chłodne miejsce. Woda ta służyła wkrótce do pokropienia zboża na siew wiosenny i świeżo zaoranych zagonów pod ten siew.

Sobotni czas przeznaczano na przygotowanie paski, czyli koszyka do poświęcenia. Koszyki były duże, pojemne, a nie małe, symboliczne, jakie święci się dzisiaj. W koszyku musiał znaleźć się kawałek domowej bułki, mała babeczka, baranek pieczony w domu lub wykonany z masła albo też cukrowy (bywały też gipsowe). Baranek, obowiązkowo z czerwoną chorągiewką, przybrany barwinkiem lub baziami. Koło baranka kolorowe pisanki, sól, chrzan, kawałek szynki i kiełbasy. Wszystko to nakryte paradnym obrusikiem, koronkowym lub wyszywanym. Obrusik bywał często przeznaczony wyłącznie na tę paradę. Było co dźwigać w tak zaprowiantowanym koszu. Dzieci miały osobno swoje małe koszyki z pisankami. Koszyki ze święconym nosiły do kościoła wyłącznie kobiety. Od wielu lat obserwuję zmianę obyczaju. Wielu młodych mężczyzn, tatusiów z dziećmi lub młodzieńców, nosi w miastach koszyki do święcenia. Na przykład we Wrocławiu zdecydowanie więcej mężczyzn święci paskę. Mimo że w Wielką Sobotę zachowywano post, to jednak po poświęceniu koszyków wyjmowano poświęcone dary Boże i próbowano przysmaków (późnym popołudniem). Baranka i pisanki ustawiano na stole - często w dekoracji z zielonej runi owsa, specjalnie posianego w naczyniu. Był też zwyczaj ścinać w marcu gałązki wiśni. W ciepłe,

koło pieca, wiśniowe pączki często zdążyły się rozwinąć i zakwitnąć na Wielkanoc. Była to piękna świąteczna ozdoba. Zazwyczaj na święta kupowało się nowe ubrania dzieciom i pannom; także dorośli zopatrywali się w tym czasie w nowe płaszcze, pantofle, kapelusze, czy choćby chustki na głowę. W ciepły wiosenny dzień świąteczny miło było wystroić się w coś nowego - to tak jakby odrodzić się, rozkwitnąć, wyładnieć lub wydorosnąć.

W Niedzielę Wielkanocną, wczesnym rankiem, dzwony budziły wszystkich falą uroczystych dźwięków. Kto żyw i zdrowy, wyruszał na rezurekcję. Po jej zakończeniu - i wyśpiewaniu wesołego „Alleluja, Alleluja” - wszyscy wyposzczeni i głodni pędzili do domów na uroczyste, świąteczne śniadanie.

Parafia cieszanowska była duża, obejmowała wszystkie okoliczne wsie⁴, więc na rezurekcji były tłumy. Cały rynek i podwórza w ulicach były zastawione furmankami ze wsi. Po rezurekcji było zwyczajem „wyścigować się”. Furmani zacinali konie, pędzili ostro jeden przed drugim - bo każdy chciał pierwszy zjechać z fantazją do swojej wsi. Rynek błyskawicznie pustoszał; ludzie, fura, konie, wszystko znikło w ciągu paru chwil, za wyjątkiem tych, którzy mieli najdalej do domu. Ci z najdalszych wsi (np. z Chotylubia), zajeżdżali na podwórza znajomków. Do nas też zajeżdżały trzy lub cztery furmanki znajomych mego ojca. Po rezurekcji wsiadali statecznie na swoje wozy, wyjmowali z koszyków śniadanie - jajka, wędliny, drób i ciasta - i pożywiali się przed daleką drogą do domu. Mama zawsze wychodziła do nich i proponowała ciepłą kawę, którą chętnie przyjmowali. Życzyli sobie nawzajem wesołego alleluja i błogosławieństwa Bożego. Potem spokojnie odjeżdżali.

A my w domu, po powrocie z rezurekcji, witaliśmy się słowami „Chrystus zmartwychwstał”, na co odpowiadało się „Prawdziwie

⁴ Parafia rzymskokatolicka pw. św. Wojciecha w Cieszanowie przed wojną obejmowała następujące miejscowości: Cieszanów, Chotylub, Dachnów, Doliny, Folwarki, Freifeld (Kowalówka), Gorajec, Lubliniec Nowy, Lubliniec Stary, Niemstów, Żuków z Kosobudami. Liczba wiernych parafii w Cieszanowie, wg danych z 1933 r., wynosiła 5361 osób. *Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini*, Leopoli 1930, s. 116; *Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini*, Leopoli 1933, s. 55.

zmartwychwstał”. Śniadanie wielkanocne rozpoczynało się od dzielenia się święconym jajkiem i wzajemnych życzeń. Na stole stała szynka, kiełbasy i boczek. Do tego chrzan na ostro i łagodny (z jajkiem, śmietaną i jabłkami), ćwikła i musztarda. Żadnych sałatek jarzynowych nie praktykowano. Żadnej wódki też się nie piło. Potem była kawa z mlekiem i puszysta baba, pachnąca wanilią. Herbatę piło się rzadko, zawsze kawę mleczną lub mleko. Kakao od wielkiego święta. Niezapomniane są wspomnienia różowych płatków domowej szynki z otoczką wspaniałego tłuszczu, którą jadło się kładąc na plaster domowej buły. Kojarzy się to zawsze z rodzinnymi świętami wielkanocnymi, w starym domu razem z rodzicami. Chleba nie jadło się w święta do takiej szynki. Nie pamiętam także alkoholu u nas w domu. Wyjątkiem było piwo po obiedzie, wypijane po szklance. Wspaniale pomagało zneutralizować ciężkie tłustości, jedzone w święta. Robiono też domowy podpiwek, który zimny, wyniesiony z piwnicy, smakował doskonale. Po śniadaniu ojciec zdejmował harmonię i śpiewaliśmy z zapalem, i radością, „Wesoły nam dziś dzień nastał...” i „Zwycięzca śmierci, piekła i szatana...” oraz różne inne pieśni. Skorupek poświęconych jaj i pisanek nie wolno było wyrzucać byle gdzie. Wrzucało się je do ognia pod kuchnią, a najczęściej zakopywało na grządce w ogródku kwiatowym. Inaczej byłaby to profanacja.

Ciekawostką Świąt Wielkanocnych w Cieszanowie było to, że nigdy nie praktykowano „lanego poniedziałku” w drugim dniu świąt. Natomiast był „oblewany wtorek”. Już od samego rana czyhali chłopcy i mieli uciechę jak im się udało zawlec dziewczynę pod studnię, i zlać ją dokładnie. Były też delikatne oblewania wodą kolońską lub też eleganckie psiknięcia z malutkiej psikawki. Natomiast nie było tego zdziwienia jakie się widzi obecnie w miastach, gdy hordy dzieciarni uganiają się z plastikowymi wiadrami i leją gdzie popadnie - oblewając odświętnie ubranych przechodniów. Kaskady wody leją się z pięt, osiedlowe uliczki toną w wodzie. Towarzyszą temu wrzaski. Obyczaj przemienił się w chamskie wybryki.

W związku z Wielkim Piątkiem i Bożym Grobem w kościele przypominał mi się pewien zwyczaj. Krowy, które cielili się wiosną, dawały dużo tłustego mleka. Z tego mleka, a raczej ze śmietany, robio-

no w domu masło. Pierwsze masło od takiej krowy topiono i wlewano w naczynka z knotem. Były to tzw. lampki. Te lampki zanoszono do Bożego Grobu. Tam, wśród dekoracji kwiatowych płonęły rzędy lampek z topionego masła. Zanoszono je też do kościoła przez cały rok do „wiecznej lampki”, płonącej zawsze przed głównym ołtarzem. Obecnie są tam zamontowane na stałe światła elektryczne.